



YANN

MARTEL

AUTOR ŻYCIA PI



JA



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

**K**iedy się obudziłem, matka była przy mnie. Jej ręce wyciągnęły się i podniosła mnie. Chyba miałem niewielkie zaparcie. Posadziła mnie na nocniczku na stole w jadalni i usiadła naprzeciwko. Zaczęła gruchać i zachęcać mnie do działania, przebiegając palcami po moich plecach.

Ale nie byłem przyjaźnie nastawiony do jej zabiegów. Wyraźnie pamiętam, że ta kobieta wydała mi się wysoce irytująca.

Przestała. Oparła łokcie na stole i głowę na dłoniach. Nastąpił okres płodnego milczenia – ona patrzyła na mnie, ja na nią. Byłem spięty, nadąsany, w głębi mojego serca czaił się gniew, lecz także potrzeba pogodzenia się z nią i wspólnej wesołości. Sprawy mogły potoczyć się rozmaicie, nic nie było pewne i zdecydowane.

Nagle dźwignąłem się na nogi, potężny jak Kolos z Rodos, schyliłem się lekko i jednym skurczem wypchnąłem to z siebie. Matka była zachwycona. Uśmiechnęła się i wykrzyknęła:

– Gros caca!

– Jaka wielka kaka!

Odwrociłem się. Co za widok! Co za zapach! Był to imponujący balasek, w przedniej części słabo uformowany, jak skalny zlepek, który jeszcze nie zdążył się zespoić, ciemnobrązowy, prawie czarny, dalej przechodzący w głęboki, kasztanowy odcień, układający się w fascynujące zwoje. Brał początek w głębi nocnika, tworzył ze dwie pętli i wznosił się ku górze niczym wprawiona w trans kobra, aby wreszcie oprzeć się o moją łydkę. Pamiętam emanujące zeń intensywne ciepło – jest to moje pierwsze wspomnienie, związane z odczuwaniem temperatury. Balas kończył się wspaniałym, wilgotnym wypiętrzeniem. Spojrzałem na matkę, która wciąż się uśmiechała. Z wysiłku poczerwieniałem na twarzy, spościłem się i byłem w siódmym niebie. Czułem, że sprawiłem jej przyjemność i sam doznałem wielkiego zadowolenia. Otoczyłem jej szyję ramionami.

Inne wczesne wspomnienie, jakie zachowało się w mojej pamięci, jest niewyraźne, sprowadzone do odległego uczucia, jakie czasami potrafię wychwycić, lecz najczęściej nie. Możliwe, że jest to w ogóle moje pierwsze wspomnienie, sądząc po jego ostrości.

Uświadomiłem sobie, że w mojej głowie odzywa się jakiś głos. Co to takiego, zastanawiałem się. Kim jesteś, głosie? Kiedy wreszcie się zamkniesz? Pamiętam uczucie strachu. Dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę, że tym głosem były moje własne myśli i że tamten moment niepokoju był pierwszą wskazówką, iż jestem nieustającym monologiem, zamkniętym wewnątrz siebie.

Późniejsze wspomnienia są wyraźniejsze i bardziej spójne. I tak, na przykład, pamiętam pewien kataklizm w ogrodzie.

Sądziłem wtedy, że słońce i księżyc są elementami przeciwnymi, że ich współistnienie jest sprzeczne, niemożliwe. Moim zdaniem księżyc był wyłączonym słońcem, czymś w rodzaju zgaszonej żarówki, słońcem w stanie uspienia. Uważałem, że dziurki na powierzchni księżyca są porami na skórze olbrzymiej powieki, że księżyc jest słonecznym popiołem, słońcem zwęglonym, bladą, marną pozostałością po dziennym ognisku, że, tak czy inaczej, w żadnym razie nie mogą one istnieć równocześnie. Był już późny letni wieczór, a ja siedziałem jeszcze w ogrodzie.

Słońce zachodziło. Gasnący blask raził mnie, ale nie spuszczałem z niego oczu, mrugając, mrużąc powieki, uśmiechając się i wyobrażając sobie, jakie jest płomiennie gorące, gorętsze niż ogień we wszystkich razem kuchenkach w okolicznych domach. W pewnej chwili odwróciłem się i zobaczyłem to coś, płynące po niebie, szare i złowrogie. Rzuciłem się do ucieczki. Mój ojciec był dla mnie największym autorytetem, więc zawołałem go i wyciągnąłem do ogrodu, ale jego dorosły umysł nie pojął, że to zjawisko postawiło na głowie całą moją astrofizyczną wiedzę.

|                              |                            |
|------------------------------|----------------------------|
| – C'est la lune. Et alors? – | – Przecież to księżyc,     |
| Je me cachais derrière lui   | o co ci chodzi? –          |
| pour me protéger de la       | Schowałem się za nim,      |
| radioactivité. – Viens,      | chcąc uniknąć              |
| il est tard. Temps           | promieniowania             |
| de faire dodo.               | radioaktywnego. – Chodź,   |
|                              | jest już późno. Czas spać. |

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do domu. Ostatni raz zerknąłem przez ramię na księżyc. Mój Boże, kula żeglująca po niebie i po całym wszechświecie, kula podobna do słońca!

Nie miałem cienia wątpliwości, że któregoś dnia muszą się ze sobą zderzyć.

Moje najwcześniejsze doznanie estetyczne związane było z małą buteleczką z przezroczystego plastiku, zawierającą jabłkowitzielony płyn do kąpeli. W oczach moich rodziców była to po prostu próbka produktu kosmetycznego, którą ktoś wetknął im do ręki w supermarkecie, dla mnie natomiast był to klejnot, odkryty podczas wieczornej kąpeli. Wpadłem w zachwyt nad nieskończoną, niewyczerpaną zielenią płynu, jego gęstawą, żelowatą konsystencją i boskim zapachem. Zaniemówiłem, ogłupiały z rozkoszy.

Kiedy tydzień później ujrzałem swój pusty, zgnieciony skarb, bo ktoś bezmyślnie zużył płyn – dokładnie pamiętam, że stało się to w chwili, gdy matka podcierała mi pupę, a ja tkwiłem w niezbyt wygodnej pozycji, patrząc na wannę – rozwrzeszczałem się jak szalony i urządziłem najgorszą scenę wczesnego okresu mego dzieciństwa.

Inne ważne fakty mojego życia – na przykład to, że urodziłem się w 1963 roku, w Hiszpanii, z rodziców, którzy jeszcze studiowali – poznałem dopiero później, ze słyszenia. Własne wspomnienia rozpoczynają się w mojej ojczyźnie, a dokładniej, w jej stolicy.

Poza normalnymi zachowaniami, wynikającymi z wykonywania obowiązków rodzicielskich, ani moja matka, ani ojciec nie podejmowali niepotrzebnych prób przekraczania granic mojego świata. Niezależnie od tego, czy moja przestrzeń była rzeczywista, czy istniała jedynie w mojej wyobraźni, czy była

wanną, czy Morzem Aralskim, moim pokojem czy amazońską dżunglą, zawsze ją szanowali. Nie potrafię wyobrazić sobie lepszych rodziców. Czasami odwracałem się, gdy na mnie patrzyli, i w ich wzroku odczytywałem bezgraniczną miłość i czułość, niezłomne poświęcenie na rzecz mojego dobrobytu i szczęścia. Delektowałem się tą miłością, syciłem się jej smakiem i poczuciem bezpieczeństwa. Nie było takiego skalistego zbocza, z którego mógłbym skoczyć, takiego morza, w którym mógłbym zanurkować, takiej przestrzeni, takiej otchłani, w którą mógłbym się rzucić, a z której nie wyciągnęłaby mnie sieć miłości moich rodziców. Czuwali w centralnej części peryferii mojego życia, byli moimi kochającymi, autorytatywnymi służącymi.

W supermarkecie biegałem i skakałem, radosny i beztroski, bawiąc się pudełkami z muesli i kaszkami, potrząsając dużymi butelkami płynów do płukania ust i obserwując różnych zabawnych ludzi, dopóki matka znajdowała się w polu mojego widzenia. Jednak jeśli tylko – jakże ważne jest to „jeśli tylko” – niespodziewanie zajrzała na chwilę do innej alejki, gdy tymczasem ja nadal przyglądałem się plastikowym opakowaniom z mięsem, zastanawiając się, jak teraz wygląda ta krowa, jeśli tylko pobiegła po owoce, kiedy ja oglądałem słoiki z marynatami, jeśli tylko, innymi słowy, gdzieś mi się zgubiła, sytuacja zmieniała się diametralnie. Moje ciało sztywniało, w brzuchu zaczynały figlować łaskoczące motylki, do oczu napływały łzy. Nieprzytomnie biegałem między półkami, nie zwracając uwagi na nic i na nikogo, całą istotą skupiony na poszukiwaniu matki. Gdy w końcu znowu ją dostrzeżałem, co, na szczęście, zdarzało się zawsze, świat natychmiast odzyskiwał normalne proporcje. Strach, to uczucie przerażające

i potężne niczym boa dusiciel, znikał bez śladu. Doznawałem gwałtownego, ognistego wybuchu miłości, uwielbienia, zachwytu i czułości dla mojej najdroższej matki, wybuchu, któremu towarzyszył krótki grzmot nienawiści za ten przelotny dotyk uniecznienienia, na jaki mnie naraziła. Oczywiście, matka nigdy nie zdawała sobie sprawy z egzystencjalnych burz, jakie przeżywałem, ze stanu *Sturm und Drang*, który na moment stawał się moim udziałem. Żeglowała przez supermarket całkowicie nietknięta uczuciem niepokoju co do mojego miejsca pobytu, pewna, że kiedy dotrze do kasy, znajdzie mnie u swego boku, bo przecież właśnie przy kasach leżały na półkach czekoladowe batoniki.

Nie przypominam sobie, żebym jako małe dziecko dostrzegł między moimi rodzicami różnicę, którą mógłbym przypisać płci. Wiedziałem, że nie są identyczni, lecz dzielące ich różnice nie znajdowały wyrazu w ustalonych, przypisanych rolach. Oboje obdarzali mnie czułością i wymierzali karierę, jeżeli zaszła taka konieczność. W pierwszych latach mojego dzieciństwa w Ottawie ojciec pracował poza domem, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, która to nazwa budziła wtedy we mnie głęboki podziw, natomiast matka pisała w domu pracę magisterską z lingwistyki i filozofii. Nie miałem pojęcia, co robi w pracy ojciec, i dlatego wydawało mi się to bardzo odległe, za to codziennie byłem świadkiem zmagania matki ze stosami grubych książek, wówczas jeszcze po hiszpańsku, oraz produkcji niezliczonych kartek papieru, pokrytych jej starannym pismem. Tematem pracy była twórczość hiszpańskiego filozofa, José Ortegi y Gasset. Kiedyś wyjęła młotek, podsunęła mi go pod nos i powiedziała, że natura młotka,

jego *istota* (tak to nazwała) jest określona przez jego funkcję. Krótko mówiąc, młotek jest młotkiem, ponieważ spełnia funkcję młotka. Oświadczyła, że jest to jedno z czołowych spostrzeżeń Ortegi y Gasset, o fundamentalnym znaczeniu dla jego filozofii, i że później zapożyczył je Heidegger. Doszedłem do wniosku, że jest ono dość oczywiste i ja także mógłbym uraczyć ją podobnym spostrzeżeniem, niemniej wyraziłem spodziewany podziw. Matka najwyraźniej zajmowała się skomplikowanymi, trudnymi kwestiami. Wziąłem młotek, wyszedłem na dwór i wybiłem kilka dziur na krawędzi naszego podjazdu, potwierdzając istotę i tożsamość młotka.

Uważałem za wysoce prawdopodobne, że w czasie, gdy matka siedziała w domu i rozważała naturę młotków, ojciec tkwił w biurze i zastanawiał się nad śrubokrętami. Tak czy inaczej, ten stan, owo rozdwojenie, okazało się tymczasowe – kilka lat później oboje pracowali w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Również pod innymi względami moi rodzice byli trudni do rozróżnienia. O ile mi wiadomo, dzielili się obowiązkami domowymi, chociaż trudno byłoby nazwać mnie wiarygodnym świadkiem, ponieważ uciekałem na samą wzmiankę o jakiegokolwiek pracy w domu, przerażony, że mogliby mnie o coś poprosić. Oboje byli kucharzami średniego lotu. Muszę oddać sprawiedliwość matce i przyznać, że niektóre potrawy wychodziły jej całkiem nieźle i że wykazywała się większą wyobraźnią niż ojciec, który przez całe moje dzieciństwo bezskutecznie próbował ugotować jajko na miękko. Aby być naprawdę sprawiedliwym, powinienem jednak dodać, że robił pyszne taco i wspaniałą tortillę de papas, omlet ziemniaczany.



W późniejszych latach to raczej on zajmował się gotowaniem. Na placówkach w Meksyku i na Kubie rodzice byli zachwyceni (ja także, gdy ich tam odwiedzałem), że mają kucharza lub kucharkę na stałe.

W kwestii kar: dostawałem w tyłek tylko wtedy, jeżeli dopuściłem się jakiegoś naprawdę ohydneho wykroczenia, a i tak były to raczej klapsy niż porządne lanie. Karany, wrzeszczałem, jakby żywcem obdzierali mnie ze skóry, pobudzany świadomością, że najwyższemu wymiarowi kary powinno towarzyszyć najbardziej przerażające i rozpaczliwe zawrodozenie. Karę tę rodzice zastosowali nie więcej niż trzy razy, poza tym nigdy nie podnieśli na mnie ręki. W szczególnych przypadkach, kiedy ojciec był naprawdę rozgniewany i chciał mnie dobitnie skarcić, chwycił moją rękę tuż nad łokciem, aby skupić moją całą uwagę, i czasami zaciskał palce, co trochę bolało. Matka gniewała się niezwykle rzadko, ale kiedy już do tego doszło, patrzyła na mnie przenikliwie spod zmrużonych powiek i nie tyle mówiła, ile syczała przez zaciśnięte zęby, budząc w moim sercu prawdziwe przerażenie. Kiedy zdarzyło mi się ogolić Lunę, suczkę matki, albo podpalić żywopłot sąsiadów, wiedziałem, że posunąłem się za daleko i robiłem wszystko, co w mojej mocy, by odpokutować przewiny, cierpiąc wewnątrz. Na szczęście tylko kilka razy sprowokowałem jej gniew.

Rodzice świetnie się rozumieli i byli ze sobą naprawdę szczęśliwi. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem tak dopasowanej, doskonale uzupełniającej się pary. Matka była osobą obdarzoną darem wymowy. Ojciec był publikowanym poetą. Ona posiadała zdyscyplinowany umysł, który potrafił pracować niezwykle intensywnie i wydajnie, umysł zawsze otwarty

na świat. On stracił ojca, kiedy miał dziesięć lat, i był podatnym na melancholię i zmiany nastrojów, kruchym człowiekiem, zdolnym nieustannie dziwić się i zachwycać światem. Matka miała optymistyczne usposobienie i kochała sztukę, która była pokarmem dla jej duszy i mądrości. Nigdy nie myliła się w uczuciach. Ojciec i ja razem odkrywaliśmy pisarzy (na przykład niezwykłego Dino Buzzatiego), i obaj lubiliśmy golfa, chociaż rzadko dane nam było cieszyć się tą grą. Mam czarno-białą fotografię, przedstawiającą nas obu na plaży gdzieś we Francji – ojciec otacza mnie ramionami i nasze cztery ręce trzymają kij golfowy, którym ojciec uczy mnie uderzać. Obiektów uchwycił mnie w chwili, gdy weń patrzyłem, z uśmiechem na twarzy i jednym okiem wyzierającym spomiędzy rozwichrzonych kosmyków długich włosów. To matka została mianowana ambasadorem Kanady na Kubie. To ona była rozważniejsza, bardziej skłonna do szukania owocnych, pragmatycznych kompromisów. Ojciec tylko czasami zdradzał szaleńczą odwagę, chęć chwytania dnia, życia całą gębą.

Pamiętam, że jako dziecko czasami wyobrażałem sobie, iż muszę dokonywać wyboru między rodzicami. Wisieli przybici do krzyży i torturowani, a ja musiałem zdecydować, które z nich ma zostać przy życiu, albo może to na mnie torturami wymuszano decyzję, nie mogę sobie przypomnieć... Jeżeli nawet za którymś razem zdecydowałem, kto ma nadal żyć, to dziś naprawdę już tego nie pamiętam.

Ojciec, wtedy tłumacz, redaktor i wydawca, w ostatniej chwili zdecydował się towarzyszyć matce do Mexico City, dokąd wybierała się na regionalną konferencję szefów kanadyjskich placówek dyplomatycznych. Niecałe piętnaście minut

po starcie z lotniska w Hawanie samolot stanął w ogniu i runął do Zatoki Meksykańskiej, podobny do płomiennej kuli. Kiedy zdajemy sobie sprawę, jak toczy się koło życia, widzimy, że tragedia najczęściej wkracza w nasze życie zupełnie nagle, ale chyba wybiegam za daleko – najpierw muszę opowiedzieć o marchewce, pralkach i wielu innych rzeczach.

Chociaż zdarzają się godne uwagi wyjątki od reguły, zwykle nie pamiętamy, kiedy pierwszy raz coś zrobiliśmy, albo pamiętamy tylko fakt powtarzania czynności, mamy świadomość, że wykonaliśmy ją wielokrotnie. Tak właśnie przedstawia się w moim przypadku sprawa gotowania marchewki. Całymi popołudniami przyglądałem się, jak gotuje się marchewka. Dom, który wynajmowaliśmy w Ottawie, był tak urządzony, że z krzesła, na którym stałem przy kuchence, mogłem zerknąć przez ramię i widzieć matkę pracującą przy swoim biurku (albo raczej to ona, ze swojego krzesła, mogła zerknąć przez ramię i zobaczyć mnie, wpatzonego w garnek). Kiedy marchewka była już kompletnie rozgotowana, co stwierdzałem za pomocą długiego widelca do fondue, wołałem głośno, a ona przychodziła, wylewała zawartość garnka do zlewu, napełniała go czystą wodą i znowu stawiała na kuchence. Potem lekko cmokała mnie w policzek i wracała do pracy. Byłem już dość duży, rozsądny i ostrożny (nigdy nie zrobiłem sobie nic złego), aby mogła pozostawić mi dokonanie wyboru następnym twardych marchewek, grubych i pomarańczowych, które wrzucałem do wody, zapoczątkowując cały spektakl od nowa. W czasie tych popołudniowych godzin moja wyobraźnia wrzała i pieniała się jak gotująca się woda. Przeprowadzałem badania i dostrzegałem głębokie powiązania

między pewnymi faktami. Matka mówiła później, że fascynowała mnie transformacja twardej materii w miękką – rzeczywiście, od najmłodszych lat proces przeobrażania odgrywał kluczową rolę w moim życiu. Ponieważ rodzice byli dyplomatami, w dzieciństwie wiele razy zmieniałem szkoły, języki, kraje i kontynenty, i nigdy nie wydawało mi się to nienaturalne. Po każdej zmianie miałem okazję kreować siebie od nowa, przedstawiać światu nową fasadę, grzebiąc dawne błędy i fałszywe przedstawienia faktów. Kiedyś w tajemnicy próbowałem ugotować młotek, zastanawiając się, czy jego podstawowa natura, jego *istota* (jej słowo), ulegnie przemianie. Gdy zacząłem tracić mleczne zęby i dowiedziałem się, że w ich miejscu wyrosną większe i trwalsze, potraktowałem to jako pierwszy namacalny dowód na istnienie metamorfozy w świecie ludzi. Udało mi się już zgromadzić informacje o metamorfozie dnia i nocy, pogody, pór roku, żywności i odchodów, a nawet życia i śmierci, aby wymienić tylko parę przykładów, lecz sprawa zębów dużo bardziej trafiała mi do przekonania, była bowiem przejrzysta, jasna i nieodwracalna. W moim mniemaniu życie stanowiło serię przemian, następujących jedna po drugiej, bez końca.

Gotowanie marchewki porzuciłem po odkryciu prania. Obserwacja prania rzucanego w tę i tamtą stronę ostrymi szarpnięciami bębna pralki automatycznej jest dla mnie przeżyciem najbardziej ze wszystkiego przypominającym przynależność do jakiegoś kościoła. Niewątpliwie dzięki niej zrodziło się we mnie zainteresowanie muzeami. W skupieniu śledziłem każdy krok absolicji prania, wszystkie stacje drogi krzyżowej, od brudu do zbawienia, całą tę cudownie powtarzającą się

ekspozycję muzeum sztuki nowoczesnej. Zaczynało się od tego, że matka oszukiwała zatrask pralki, wpychając monetę między tylną część obudowy i pokrywy – taka była cena biletu wstępu na wystawę, jałmużna, jaką należało wrzucić do puszeki. Pośpiesznie wdrapywałem się na moją prywatną galerię, a tę rolę pełniła półka nad pralką. Matka wpychała do bębna brudne rzeczy, podobne do grzesznych dusz, wrzucanych do piekła. Proszek do prania osiadał na nich niczym śnieg, miejscami warstwą tak grubą jak na równinie, gdzie indziej cienką jak na skarpie – w ten sposób poznawałem podstawowe tajniki sztuki malowania krajobrazu. Gorąca woda podnosiła się powoli. Było to dla mnie prawie fizyczne doznanie, ponieważ właśnie tak brałem zwykle kąpiel – siadałem w pustej wannie, drżący, a mocno ciepła woda podkładała się centymetr po centymetrze, przykrywając pokryte gęsią skórką ciało i dostarczając mi rozkoszy tym większej, im bardziej byłem zmarznięty. Woda zatrzymywała się i następował moment otrzeźwienia, ciche kliknięcie, a potem zaczynało się wielkie, ceremonialne nabożeństwo. Czerpałem duchową przyjemność z oglądania mechanicznych ruchów prania, poddawanego konieczności słuchania dziwnej homilii. W bębnie pralki szalało wzburzone morze, a mały stateczek mojej duszy stawiał czoło spienionym falom. Był to zamknięty w pojemniku ocean, w którym ja, wypłuty przez morskiego potwora Jonasz, swawoliłem obok ławicy skarpetek. Był to także obraz, owoc szkoły najczystszej abstrakcyjnego ekspresjonizmu w najbardziej ulotnej, zmiennej formie. Potrafiłem przesiedzieć na półce cały cykl prania, obserwując, jak ten łagodniejszy od pierwowzoru, bardziej zamaszysty Jackson Pollock oddaje się gorączkowej pracy

w swojej pracowni malarskiej. Odpryski czerwieni pojawiały się po pasmach zieleni. Wybuchy bieli przyćmiewały plamy fioletu. Pięć splecionych ze sobą kolorów tańczyło cudowny taniec, nim wreszcie znikły w niebieskich falach. Dramatyczne, zakrojone na wielką skalę widowisko było hojne i otwarte, prawdziwie ekumeniczne. Kiedy cykl prania dobiegał końca, święcona woda się cofała, wysysana przez pory bębna, a ja miałem okazję ujrzeć rzeźbę przedstawiającą otchłań, opróżnione piekło. Wyprane rzeczy zaczynały wirować, czułem, jak woda odpływa, wysąca się ze mnie. Nagle dopadała mnie tropikalna burza. Czy była to pokusa? Potem następna burza, lecz ją także byłem w stanie przetrwać. Wreszcie ostatnie kliknięcie i koniec. Wołałem wtedy matkę. Koszule, spódnice, bluzki, bielizna, spodnie, skarpetki i ja sam wychodziliśmy z pralki odnowieni, oczyszczeni z grzechów, przesiąknięci wilgotną energią, roztaczający wokół siebie blask niczym Chrystus, zmartwychwstający trzeciego dnia. A moneta, którą matka wtykała między pokrywę i obudowę pralki, należała teraz do mnie!

Czy dzieci patrzą w lustro? Zerkają w szklaną powierzchnię jedynie po to, żeby sprawdzić, czy ich potargane, nieposłuszne włosy osiągnęły wymagany przez rodziców stopień uporządkowania, czy także w jakimś innym celu? Ja zerkałem w lustro tylko z tego pierwszego powodu. Dlaczego miałbym kierować się czymś innym? Widziałem tam swoje odbicie, odbicie dziecka, więc dlaczego miałyby mnie to interesować? Nie należałem do dzieci, które zwykle chcą wyrzucić na kimś dobre wrażenie i którym zależy na opinii innych. Świat był dla mnie jednym wielkim placem zabaw i nie zamierzałem

tracić czasu, patrząc na odbicie jakiejś jego części. Czasami na chwilę przystawałem przed lustrem i robiłem zabawne, głupie miny – dwoma palcami obciągałem dolne powieki albo zadzierałem w górę koniuszek nosa. Ot i wszystko.

Dzieciństwo, podobnie jak mądrość, to rodzaj emocji. W pierwszych latach życia uczucia są tym, co najgłębiej zapada w naszą podświadomość. To, co dostrzega oko, czyli wizualne aspekty tych uczuć, jest drugorzędne. Pewnie właśnie dlatego nie mam żadnych wspomnień związanych z lustrami, ubraniami, skórą, kończynami, ciałem, moim własnym fizycznym dziecięcym „ja”. Wynika z tego, paradoksalnie, że byłem wtedy czymś najbardziej zbliżonym do olbrzymiego, wечно ciekawego nowych wrażeń oka, oka emocjonalnego, zawsze rozglądającego się dookoła i nieświadomego samego siebie.

Opowieść o moim dzieciństwie byłaby niepełna, wręcz kaleka, gdybym nie wspomniał o telewizji (religia nigdy nie odgrywała ważnej roli w moim życiu, więc chyba dobrze będzie rozprawić się z tą kwestią właśnie teraz, jak najwcześniej. Ze wzmianką o Bogu po raz pierwszy zetknąłem się w piosence, którą śpiewali mi rodzice. Oto jej słowa:

Il était un petit navire Qui  
n'avait jamais navigué

Ohé ohé!

Il entreprit un long voyage  
Sur la mer Méditerranée  
Ohé ohé!

Był raz sobie mały stateczek,  
który nigdy nie wypłynął na  
morze.

Ahój, ahój!

Wreszcie wyruszył w długi  
rejs po Morzu Śródziemnym.  
Ahój, ahój!

Au bout de cinq à six  
semaines

Les vivres vinrent à manquer

Ohé ohé!

Po pięciu lub sześciu  
tygodniach

Nie zostało już nic do  
jedzenia.

Ahoj, ahoj!

On tira à la courte paille  
Pour savoir qui serait mangé

Ohé ohé!

Żeglarze postanowili ciągnąć  
losy, żeby dowiedzieć się,  
kogo zjeść.

Ahoj, ahoj!

Le sort tomba sur le plus  
jeune

C'est donc lui qui sera mangé

Ohé ohé!

Los wskazał najmłodszego  
marynarza

To on miał zostać zjedzony.

Ahoj, ahoj!

O Sainte Mère, O ma  
patronne

Empêche-les de me manger

Ohé ohé!

O, Matko Święta, o moja  
opiekunko,

Nie pozwól im mnie  
pożreć.

Ahoj, ahoj!

W ten sposób kończyła się piosenka. Kiedy wreszcie pojąłem jej słowa, kiedy po prostu wsłuchałem się w nie, zaskoczył mnie nie radosny chórek marynarzy-kanibali, lecz niezrozumiała, niewyjaśniona prośba w ostatniej zwrotce. Do kogo skierowane było to wezwanie? Kim była owa święta opiekunka? I czy odpowiedziała na prośbę? Czy młody marynarz został uratowany, czy zjedzony? Zanim religia straciła jakiegokolwiek znaczenie w moim życiu, kojarzyła mi się wy-



łącznie z możliwością ratunku, nadchodzącego w ostatniej chwili. Gdy seria przeżyć i doświadczeń uświadomiła mi, że nie ma zbawiciela ani żadnej szczególnej łaski, żadnego odejścia od tego, co ludzkie, że cierpienie trzeba po prostu wytrzymać, bo łagodnieje tylko pod wpływem czasu, jeżeli w ogóle to się zdarza, wtedy Bóg stał się dla mnie czymś w rodzaju dyslektycznego psa, który ani nie szczeka, ani nie gryzie. Jestem urodzonym ateistą); w gruncie rzeczy nie dałoby się chyba mówić o moim pokoleniu, nie wspominając o telewizji.

Poznałem to zwierzę niedługo po przeprowadzce do Kostaryki, chyba tuż po moich piątych urodzinach. Telewizor nie należał do rodziców, ale został wypożyczony im przez ambasadę. Był to kawał mebla – duże, ciężkie, hałaśliwe pudło w drewnianej obudowie, którego nie sposób było nie zauważyć. Zaległ w dziennym pokoju, zajmując jedną trzecią jego powierzchni i akurat ten kąt, w którym najbardziej lubiłem się bawić. Gdy ujrzałem go po raz pierwszy, nie spał i żył własnym życiem. Wszedłem właśnie do pokoju, nieświadomy, że w naszym mieszkaniu pojawił się intruz, a bestia, wyczuwając moją obecność, zwróciła się w moim kierunku. Zamarłem, wpatrzony w jej szeroką, płaską, ożywioną twarz. Z całą pewnością rzuciłbym się do ucieczki, gdyby nie widok rodziców, którzy chwilę wcześniej zainstalowali to coś i teraz siedzieli przed nim, obojętni i bynajmniej nie przerażeni. Spojrzeli na mnie, uśmiechnęli się i powiedzieli jakieś słowa, których naturalnie w ogóle nie usłyszałem. Uznałem telewizor za jakiś szczególny rodzaj czworonogiego zwierzęcia – dużego, przysadzistego psa o sterczących uszach i bardzo długim, cienkim ogonie (w tamtym okresie wciąż wydawało mi się, że

ruch zawsze oznacza życie. Traktowałem odkurzacza – dalekiego krewnego słońca – i pralkę – kuzynkę szopa pracza – z największym szacunkiem. Fakt, że moja matka odnosiła się do nich chłodno i bezceremonialnie, napełniał mnie skrywanym oburzeniem. Kiedy wychodziła z domu, głaskałem je i całowałem, szepcząc słowa zachwytu i podziwu). Jednak chociaż lubiłem większość zwierząt, do telewizora przekonałem się dopiero po pewnym czasie. Jego wielkość i zachowanie sprawiały, że czułem się nieswojo. Odnosiłem wrażenie, że telewizor jest nieczułym egoistą, w przeciwieństwie do pralki. Minęło wiele lat, nim polubiłem telewizję i przez cały ten czas tylko dwa razy padłem ofiarą jej hipnotycznego wpływu. Wolałem godzinami kołysać się w fotelu na biegunach, słuchając muzyki i marząc, z ulubionym króliczkiem na kolanach.

#### KIEDY TELEWIZJA ZAFASCYNOWAŁA MNIE PIERWSZY RAZ JAKO DZIECKO:

1) Nie pamiętam, kiedy zdałem sobie sprawę, że istnieje miłość i po raz pierwszy w pełni uświadomiłem sobie działanie tej siły w świecie ludzi. Nie ulega wątpliwości, że otrzymałem miłość, zanim zacząłem ją odwzajemniać, i że odwzajemniałem ją, nim odkryłem jej imię. Nie przypominam sobie jednak, w jakim momencie moje uczucia – *och, tu jesteś! Tak się cieszę! Jeżeli uśmiechniesz się, odpowiem uśmiechem; chcę cię dotykać, chcę być z tobą, nie puszczaj mojej dłoni* – straciły anonimową osłonkę i na dobre weszły do słownika mojego umysłu. Pamiętam tylko, że to właśnie telewizja sformalizowała moje pojęcie miłości, skryształizowała i ujednotociła w kształt teorii to, co odczuwałem.